

DAVID  
MORRELL

---

MORDERSTWO  
JAKO  
DZIEŁO SZTUKI

---



## Wirtuoz śmierci

*Do zakomponowania kunsztownego morderstwa potrzeba czegoś więcej niż dwóch durni, z których jeden zabija, a drugi jest zabijany, noża, sakiewki i ciemnego zaułka. Do idealnego morderstwa niezbędne są projekt, rozmieszczenie elementów, światło i cień, poezja i uczucia. Jak Ajschylos i Milton poezję, jak Michał Anioł malarstwo, tak perfekcyjny morderca wynosi swą sztukę do poziomu kolosalnego piękna.*

*Thomas De Quincey, O morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych*

*Londyn, 1854 rok*

Powiadają, że Tycjan, Rubens i van Dyck uprawiali sztukę zawsze odświętnie ubrani. Zanim przystępowali do unieśmiertelniania swoich wizji na płótnie, brali kąpiel, symbolicznie oczyszczając umysły ze wszystkiego, co mogłoby ich rozpraszać. Stroili się w najlepsze ubrania, najlepsze peruki, a w jednym przypadku malarz dodał nawet szpadę z brylantem na rękojeści.

Wirtuoz śmierci przygotował się podobnie. Ubrany w strój wieczorowy, siedział przez dwie godziny i wpatrywał się w

ścianę, skupiając się na uczuciach. Kiedy zmrok zapadł za zasłoniętymi oknami, zapalił lampę naftową i włożył do czarnej, skórzanej torby odpowiedniki pędzli, farb i płócien. Pamiętając o Rubensie, dodał żółtą perukę, kontrastującą z jego jasnobrązowymi włosami. Pasująca do niej sztuczna broda również znalazła się w torbie. Dziesięć lat wcześniej broda przyciągałaby uwagę, ale panująca ostatnio moda niemal nakazywała noszenie tej ozdoby twarzy, w przeciwieństwie do jego niezwykle gładko ogolonych policzków. Do pozostałych rzeczy w torbie dołożył ciężki młotek okrętowego cieśli. Młotek był stary i miał na obuchu inicjały J.P. Zamiast szabli z brylantem na rękojeści, przytraczonej przez pewnego malarza na czas tworzenia obrazu, wirtuoz wsunął do kieszeni złożoną brzytwę z rączką z kości słoniowej.

Opuścił kryjówkę i przeszedł kilka przecznic, aż dotarł do ruchliwego skrzyżowania, gdzie przystanął na postoju dorożek. Po dwóch minutach nadjechał w końcu kabriolet, z woźnicą wyraźnie widocznym za eleganckim powozem. Wirtuoz śmierci nie przejmował się tym, że stoi na widoku, a wokół panuje zimno grudniowej nocy. Prawdę mówiąc, w tamtej chwili chciał być widziany, choć gdyby ktokolwiek go obserwował, to miałby z tym problem, jako że mgła nadpłynęła znad Tamizy i tworzyła aureole wokół latarni gazowych.

Wirtuoz zapłacił woźnicy osiem pensów za kurs do teatru Adelphi na Strandzie. Wśród tłoku powozów i stukotu podkutych kopyt skierował się ku elegancko ubranemu tłumowi, który czekał na wejście do środka. Podświetlony latarniami gazowymi napis na markizach teatru informował, że wystawiany jest sensacyjny melodramat pod tytułem *Korsykańscy bracia*. Wirtuoz śmierci znał tę sztukę i mógł odpowiedzieć na każde dotyczące jej pytanie, zwłaszcza o niezwykle urządzenia

wykorzystane w dwóch pierwszych aktach, które pojawiały się kolejno, choć w zamierzeniu wyobraźnia miała podpowiadać, że akcja dzieje się jednocześnie. W pierwszym akcie brat zobaczył ducha swojego bliźniaka. W następnym pokazano, w jaki sposób bliźniak został zabity w tym samym czasie, gdy jego brat napotkał zjawę. Zemsta w ostatnim akcie była tak pełna przemocy, z taką ilością sztucznej krwi, że wielu widzów ponoć doznawało szoku, ale ich oburzenie nakręcało jedynie sprzedaż biletów. Wirtuoz śmierci dołączył do podekscytowanego tłumu wchodzącego do teatru. Jego zegarek z dewizką pokazywał, że minęło dwadzieścia po siódmej. Zgodnie z programem kurtyna miała się podnieść za dziesięć minut. W zamieszaniu panującym w lobby minął przekupnia handlującego nutami *Melodii ducha*, granej podczas przedstawienia. Wyszedł bocznymi drzwiami, przeszedł ulicą zasnutą mgłą, ukrył się za pogrążonymi w mroku skrzyniami i czekał, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

Odzyskawszy poczucie bezpieczeństwa po dziesięciu minutach, opuścił daleki koniec uliczki, przeszedł dwie przecznice i wynajął następną dorożkę, już bez czekania, jako że wiele powozów odjeżdżało pustych spod teatru. Tym razem kazał się zawieźć do mniej modnej części miasta. Zamknął oczy i wsłuchiwał się w turkot kół dorożki zjeżdżającej z gładkich, granitowych kostek, którymi wybrukowano główne aleje, na kocie łby starszych ulic londyńskiej dzielnicy East End. Kiedy znalazł się w okolicy, gdzie wieczorowy strój widywano nader rzadko, woźnica bez wątpienia pomyślał, że wirtuoz ma zamiar zaczepić prostytutkę.

W kabinie toalety publicznej wyjął ze skórzanej torby zwykłe ubranie, włożył je, strój zaś noszony w teatrze schował do torby. Idąc coraz bardziej zapuszczonymi ulicami, natrafiał na ganki,

nisze i zaułki, gdzie pobrudził swoje przebranie, wysmarował też błotem skórzaną torbę. Między brudne uliczki wszedł gładko ogolony, z jasnobrazowymi włosami, a wyszedł z żółtawą brodą i w peruce. Jego składany cylinder znajdował się od dawna w torbie, zastąpiony teraz zniszczoną czapką. Młotek cieśli okrętowego miał w kieszeni wyświechtanej marynarskiej kurtki.

W ten sposób wirtuoz wypełnił dwie godziny. Zupełnie go to nie znużyło. Przywiązywanie uwagi do szczegółów było przyjemnością, podobnie jak stwarzana przez to sposobność wyobrażenia sobie wspaniałej kompozycji, do której dążył. Skryty we mgle doszedł do miejsca, skąd widać było cel jego wędrówki — pośledni sklep pończoszniczy odwiedzany najczęściej przez marynarzy floty handlowej, którzy często kręcili się w okolicy londyńskiego portu.

Zatrzymał się na rogu i spojrzął na zegarek kieszonkowy, bardzo uważając, by nikt tego nie widział. Zegarek był czymś niezwykłym w tej biednej dzielnicy i każdy, kto by go zauważył, zacząłby podejrzewać, że wirtuoz wcale nie jest marynarzem, za którego się przebrał. Wskazówki na cyferblacie pokazywały, że dochodzi dziesiąta. Wszystko szło zgodnie z planem. Podczas poprzedniej wizyty ustalili, że policjant patrolujący tę ulicę przechodzi około godziny dziesiątej piętnaście. Punktualność była częścią tej pracy i każdy policjant przemierzał swój dwumilowy rewir co godzinę. Pora, o której konstabl dochodził do tego miejsca, rzadko się zmieniała.

Jedyną osobą w zasięgu wzroku okazała się prostytutka, której nawet nocny chłód nie zmusił, żeby wróciła do ciasnej rudery, nazywanej przez nią domem. Kiedy się zbliżyła, wirtuoz posłał jej groźne spojrzenie, na tyle wymowne, że zatrzymała się w miejscu, a potem poszła w odwrotnym kierunku, niknąc we mgle.

Ponownie skupił uwagę na sklepie. Spozrzegł, że szyba w oknie była pokryta warstwą kurzu, tłumiącego światło lampy palącej się wewnątrz. Ludzki cień wyłonił się z domu i zamknął okiennice, jak zwykle o godzinie dziesiątej.

W chwili, gdy cień wszedł z powrotem do środka, wirtuoz przeszedł na drugą stronę pustej ulicy i sięgnął do drzwi. Jeśli okazałyby się zamknięte na zasuwę, miał zamiar zapukać, oczekując, że kupiec nie poskąpi pięciu minut na przeprowadzenie ostatniej sprzedaży tego dnia.

Ale drzwi nikt nie zamknął. Zaskrzybiały, gdy wirtuoz je pchnął. Wszedł do sklepu, gdzie było niewiele cieplej niż na ulicy.

Mężczyzna obrócił się, przerywając opuszczanie lampy zawieszanej pod sufitem. Liczył sobie może trzydzieści lat — chudy, blade, o zmęczonych oczach. Był ubrany w czarną koszulę ze stójką. Jeden z guzików przy koszuli zupełnie nie pasował do reszty. Mankiety spodni miał wystrzępione.

Czy wspaniałe dzieło sztuki wymaga wspaniałego tematu? Czy zamordowanie królowej wywiera większe wrażenie niż zabójstwo szarego człowieka? Nie. Celem sztuki mordu jest strach i litość. Nikt nie żałuje zamordowanej królowej albo premiera, lub zamożnego człowieka. Pojawia się wtedy natychmiastowe niedowierzanie, że nawet tak wysoko postawieni ludzie ulegają śmiertelnym ciosom. Ale stan szoku utrzymuje się krótko, podczas gdy smutek wynikający z litości trwa długo.

Dlatego, wręcz przeciwnie, ofiarą powinien być młody, ciężko pracujący, ubogi, ale pełen nadziei i ambicji mężczyzna, ze wzrokiem utkwionym w dalekosiężnych celach, mimo zniechęcających warunków, które są przyczyną jego zmęczenia. Obiekt zbrodni powinien mieć kochającą żonę i oddane mu dzieci, w pełni zależne od wyniku jego wysiłków. Współczucie.

Łzy. Artyzm ich wymagał.

— Pewnie właśnie zamykaliście? Szczęściem, jeszcze was złapałem — powiedział wirtuoz, zamykając drzwi.

— Stara szykuje obiad, ale zawsze znajdzie się chwila dla klienta. Czym mogę służyć?

Po chudym właścicielu sklepu nie było widać, że fałszywa broda obudziła jego podejrzenia ani też że rozpoznał mężczyznę, który w innym przebraniu odwiedził sklep tydzień wcześniej.

— Potrzebuję czterech par skarpet. — Wirtuoz zerknął za kontuar i pokazał palcem. — Grubych. Jak te, które trzymacie tam na półce.

— Cztery pary? — Ton głosu sklepikarza wskazywał, że tego dnia to był znaczący zakup. — Są po szylingu za parę.

— Za drogo. Miałem nadzieję, że przy tylu parach dostanę lepszą cenę. Może powinienem iść gdzie indziej.

Zza zamkniętych drzwi rozległ się płacz dziecka z pokoju na tyłach.

— Chyba ktoś jest głodny — zauważył wirtuoz.

— To Laura. A kiedy ona nie jest głodna? — Sklepikarz westchnął. — Dołożę wam jedną parę ekstra. Pięć par za cztery szylingi.

— Załatwione.

Kiedy sklepikarz ruszył w stronę lady, wirtuoz sięgnął za siebie i zamknął drzwi na zasuwę. Zakasłał głośno, żeby zamaskować wydany przez nią odgłos, w czym pomogło mu także dudnienie kroków sklepikarza. Ruszył za nim, wyciągając młotek z kieszeni kurtki.

Właściciel sklepu wszedł za kontuar i sięgnął po skarpety leżące na górnej półce, gdzie wirtuoz zauważył je tydzień wcześniej.

— Te?

— Tak, z surowej bawełny.

Wirtuoz zamachnął się młotkiem ciesielskim. Ramiona miał muskularne. Pokażny obuch młotka przeciął powietrze i uderzył w czaszkę sklepiarza. Rozległ się głuchy trzask, podobny do tego, jaki słycać przy pękaniu tafli lodu.

Kiedy sklepiarz jęknął i osunął się na ziemię, wirtuoz zaatakował ponownie, teraz jednak kierował narzędzie w dół ku bezwładnemu ciału i uderzał w czubek głowy. Tym razem odgłos przypominał mlaskanie.

Wirtuoz wyjął z torby fartuch i włożył go na ubranie. Wszedł za ladę i z kieszeni wyciągnął brzytwę. Otworzył ją, odchylił do tyłu pokiereszowaną głowę właściciela sklepu i poderznął mu gardło. Doskonale naostrzona stal cięła bez trudu. Krew trysnęła na towar leżący na półkach.

Wydawało się, że lampa pod sufitem świeci jaśniej.

Artyzm.

Za drzwi ponownie rozległ się płacz dziecka.

Wirtuoz puścił ciało, które opadło na podłogę prawie bezdźwięcznie. Złożył brzytwę, schował ją z powrotem do kieszeni, a potem wziął młotek i torbę. Podeszedł do drugich drzwi, za którymi usłyszał kobiecy głos.

— Jonathan, kolacja gotowa!

Kiedy wirtuoz pchnął drzwi, natknął się na niską, mizerną kobietę, która zamierzała właśnie je otworzyć. Podobnie jak właściciel sklepu, miała zmęczone oczy, które zrobiły się wielkie z zaskoczenia na widok wirtuoza i fartucha, który miał na sobie.

— Kim jesteście, do diabła?

Korytarz był wąski i niski. Wirtuoz widział go przez krótką chwilę, gdy tydzień wcześniej udawał klienta. Żeby zrobić pełny zamach w tak ciasnym pomieszczeniu, musiał trzymać



młotek przy nodze i uderzyć kobietę od dołu, pod brodę. Siła odrzuciła jej głowę do tyłu. Jęknęła, a on pchnięciem przewrócił ją na podłogę. Przyklęknął i miał teraz dość miejsca, żeby unieść ramię i raz, drugi, trzeci, czwarty zadać cios w twarz.

Po prawej stronie znajdowało się wejście do kuchni, w której pachniało gotowaną baraniną. Rozległ się łoskot rozbijanego talerza. Wirtuoz wyprostował się, wbiegł do środka i zastał tam służącą — widział ją w poprzednim tygodniu, kiedy wychodziła ze sklepu załatwić sprawunki. Otworzyła usta, żeby krzyknąć. W przestronniejszej kuchni był w stanie wymierzyć cios z boku, uciszający jej krzyk i roztrzaskujący szczękę.

— Mamo? — zapłakało dziecko.

Obróciwszy się na pięcie ku drzwiom, wirtuoz zobaczył w korytarzu dziewczynkę w wieku około siedmiu lat. Włosy miała związane w kucyki. Trzymała szmaccianą lalkę i wpatrywała się w ciało matki leżące na podłodze.

— Ty na pewno jesteś Laura — powiedział wirtuoz.

Zgruchotał jej czaszkę.

Znajdująca się za nim służąca zaczęła jęczeć. Poderżnął jej gardło.

Poderżnął gardło matce.

Poderżnął gardło dziecku.

Metaliczny zapach krwi mieszał się z zapachem gotowanej baraniny, w czasie gdy wirtuoz przyglądał się powstałemu obrazowi. Serce biło mu tak szybko, że brakło mu tchu.

Zamknął oczy.

I otworzył je błyskawicznie, kiedy ponownie usłyszał płacz dziecka.

Dochodził z dalszej części korytarza. Sprawdzając, w czym rzecz, doszedł do drugich otwartych drzwi. Prowadziły do zagraconej, cuchnącej stęchlizną sypialni, gdzie w blasku

świeczki widać było kołyskę z postawioną wiklinową budką. Płacz dochodził spod budki.

Wirtuoz wrócił do kuchni, ponownie wziął młotek i poszedł do sypialni. Rozbił kołyskę na drzazgi, walił młotkiem w niemowlę leżące na szczątkach kołyski, a potem poderżnął mu gardło.

Zawinał dziecko w kocyk i położył pod resztkami budki.

Płomień świecy stał się zdumiewająco jasny. Z absolutną wyrazistością wirtuoz spostrzegł, że ręce ma pokryte krwią. Fartuch był od niej czerwony, podobnie buty. W sypialni na lichej sekreterze znalazł pęknięte lustro i zobaczył, że na brodzie, peruce i czapce nie ma śladu krwi.

Poszedł do kuchni, nalał z dzbanka wodę do miski i umył ręce. Zdjął buty i również je umył. Zdjął fartuch, złożył go i położył na krześle.

Zostawiwszy młotek na kuchennym stole, wyszedł na korytarz, podziwiał trupa służącej, który leżał na podłodze w kuchni, i zamknął drzwi. Zamknął też drzwi do sypialni. Przeszedł na front sklepu i napawał się artyzmem obrazu matki i siedmioletniej dziewczynki w zbryzganym krwią korytarzu.

Drzwi do tego pomieszczenia również zamknął. Ciało sklepikarza można było zobaczyć jedynie wtedy, gdy zajrzało się za ladę. Następną osobę, która wejdzie do sklepu, czekała seria niespodzianek.

Strach i litość.

Artyzm.

Ktoś niespodziewanie zapukał, sprawiając, że wirtuoz się obrócił.

Pukanie rozległo się znowu. Ktoś nacisnął klamkę, ale wirtuoz zadbał zawnazasu, żeby zamknąć drzwi na zasuwę.

Frontowe drzwi nie miały okienka. Ponieważ okiennica na

wystawie była zamknięta, ktokolwiek pukał do sklepu, nie mógł zajrzeć do środka, choć światło lampy na pewno było widoczne w szparach wokół framugi.

— Jonathan, to ja, Richard! — krzyknął mężczyzna. — Przyniosłem koc dla Laury! — Ponownie pukanie. — Jonathan!

— Hej, co się tutaj dzieje? — zapytał autorytatywnie inny głos.

— Jak dobrze was widzieć, konstablu.

— Proszę powiedzieć, co tu robicie?

— To sklep mojego brata. Prosił, żebym przyniósł dodatkowy koc dla jego córeczki. Jest przeziębiona.

— Ale dlaczego tak walicie?

— Bo nie otwiera. Spodziewa się mnie, a nie otwiera.

— Zapukajcie głośniej.

Drzwi się zatrzęsły.

— Ile osób tu mieszka? — zapytał policjant.

— Mój brat, jego żona, ich dwie córeczki i służąca.

— Na pewno któreś z nich usłyszałoby pukanie. Czy jest tu kuchenne wejście?

— Przy tamtej uliczce. Za murem.

— Poczekajcie tutaj, a ja się rozejrzę.

Wirtuoz chwycił torbę, otworzył drzwi do korytarza, wyszedł przez nie i pamiętał o ich zamknięciu. Ryzyko sprawiało, że serce waliło mu jak młot. Pośpiesznie minął ciała matki i dziecka, niemal tracąc równowagę na śliskiej podłodze, i otworzył tylne drzwi. Wyszędłszy na niewielkie podwórze, ponownie stracił cenny czas na ich zamknięcie.

Mgła pachniała popiołem z komina. W mroku spostrzegł zarys, uznał że to ubikacja. Przykucnął za nią niemal w chwili, gdy postępujący mężczyzna podciągnął się na mur, przelazł na drugą stronę i oświetlił podwórze latarnią.

— Halo? — głos miał szorstki. Zbliżył się do kuchennych drzwi i zapukał. — Jestem policjantem! Konstabl Becker! Wszystko w porządku?

Konstabl otworzył drzwi i wszedł do środka. Słyszając, że policjant zachłysnął się powietrzem, wirtuoz obrócił się do ciemnego muru za ubikacją.

— Dobry Boże — wymamrotał konstabl, najwyraźniej na widok ciał matki i dziewczynki leżących w korytarzu. Podłoga zaskrzypiała, gdy policjant do nich podchodził.

Wirtuoz wykorzystał moment odwrócenia jego uwagi, postawił torbę na murze, podciągnął się, złapał torbę i przeskoczył na drugą stronę. Wylądował na błotnistym nasypie, ześlizgnął się na dół i niewiele brakowało, żeby upadł na rozmokłą ziemię. Przestraszył się, bo odgłos, który temu towarzyszył, był tak donośny, że konstabl na pewno go usłyszał. Nogawki spodni miał przemoczone. Obrócił się w prawo i wymacując drogę wzdłuż muru, odszedł w mrok wypełniony mgłą. Szczury pierzchały mu spod nóg.

Z tyłu doszedł go jednoznaczny sygnał alarmu. Każdy policjant patrolujący ulice nosił ze sobą drewnianą kołatkę, składającą się z rączki i zamontowanego na niej kawałka drewna, który klekotał przy obracaniu. Konstabl posłużył się nią teraz i wypełnił powietrze tak głośnym dźwiękiem, że na pewno usłyszeli go wszyscy policjanci patrolujący teren w pobliżu.

Wirtuoz dotarł do zasnutej mgłą uliczki i kierował się ku ledwie widocznej przy jej dalekim końcu latarni.

— Pomocy! Morderstwo! — krzyczał policjant.

— Morderstwo? Gdzie? — rozległ się inny głos.

— W sklepie mojego brata! — odpowiedział kolejny głos.

— Tutaj! Pomocy, na miłość boską!

Okna się uchylały. Drzwi otwierały się z hukiem. Kroki

dudniły w ciemności.

Zbliżając się do światła na końcu uliczki, wirtuoz widział na tyle dobrze, że mógł ukryć brzytwę za stertą śmieci. We mgle minął go biegnący tłum, zwabiony hałasem kołatki policjanta.

Kiedy ciżba ludzka oddaliła się, wirtuoz wyszedł z uliczki i ruszył w przeciwną stronę. Trzymał się blisko ledwie widocznych kamienic, gotów zniknąć w byle wnęcie, gdyby usłyszał, że ktoś biegnie w jego kierunku. Wrzawa robiona przez tłum cichła za nim powoli.

Znalazł publiczną toaletę, zdjął żółtą perukę i wrzucił do dziury, po czym to samo zrobił z brodą. Pięć minut później w zaułku na skraju lepszej dzielnicy zdjął ubranie marynarza i włożył strój do teatru, ukryty do tej pory w torbie. Rzucił marynarskie ciuchy łącznie z czapką w róg zaułka, skąd na pewno ktoś zabierze je rankiem zadowolony. Ubrudzoną błotem torbę wyrzucił między śmieci trochę dalej. Ona również z pewnością znajdzie nowego właściciela.

W lepszej dzielnicy ruszył we mgle tropem stukotu kopyt, aż dotarł do głównej ulicy. Wolna dorożka stała w pobliżu restauracji. Fiakier spojrzął w dół na wirtuoza, oszacował jego wieczorowy strój i uznał, że to dobry pasażer na kurs o tak późnej porze.

Kiedy dorożka wiozła go do teatru na West Endzie, wirtuoz wytarł chusteczką błoto z butów. Postarał się, aby widziano go przy wejściu do music-hallu, udając jednego z wielu teatromanów, marzących o rozrywce lżejszego gatunku od ociekającego krwią spektaklu *Korsykańscy bracia*. W końcu wynajął ostatnią dorożkę i pojechał do domu, zastanawiając się, czy Tycjan, Rubens i van Dyck czuli kiedykolwiek satysfakcję ze swojej sztuki, równą tej, jaka była teraz jego udziałem.

## 2

# Człowiek, który ukrywał rude włosy

Londyńska policja została utworzona w 1829 roku jako pierwsza zorganizowana siła porządkowa w Anglii. Wcześniej bezpieczeństwo miasta zależało od podstarzałych nocnych stróżów, którym dano kołatki i przydymione latarnie i przykazano, by pokrzykiwali co pół godziny przy patrolowaniu wyznaczonego rewiru. Niemniej często owi starzy mężczyźni przesypiali noc w stróżówkach. Kiedy populacja Londynu wzrosła do półtora miliona, miasto upoważniło sir Roberta Peela do utworzenia policji stołecznej, której trzy tysiące pięciuset pierwszych funkcjonariuszy zaczęto nazywać „bobby” albo „peeler”, robiąc aluzję do zdrobnienia jego imienia i nazwiska.

W roku 1854 Londyn miał już prawie trzy miliony mieszkańców, co czyniło go największym miastem na świecie. Tymczasem siły policyjne zaledwie się podwoiły, wzrastając do siedmiu tysięcy, a liczba funkcjonariuszy była stanowczo za mała do pilnowania siedmiuset mil kwadratowych miasta. Żeby wesprzeć regularne służby, powołano policję śledczą — ośmiu ubranych po cywilnemu detektywów przemierzających stolicę.

Ich anonimowość denerwowała wielu mieszkańców, których wiktoriańska obsesja na punkcie prywatności sprawiała, że nabrali chorobliwego podejrzenia, że są szpiegowani.

Detektywów wybrano spośród oficerów służących w siłach policyjnych. Znali ulice, gdzie mieli pracować, jak reszta, ale jedno ich wyróżniało — przywiązywali niezwykle dużą wagę do szczegółów, umieli w jednej chwili wypatrzeć w zatłoczonym lobby hotelu albo na pełnym ludzi dworcu kolejowym człowieka, którego zachowanie nie pasowało do danego miejsca: był potencjalną czujką grupy rabunkowej i stał nieruchomo, podczas gdy wszyscy inni dokądś zdążyli, potencjalnym złodziejem kieszonekowym, który przyglądał się tłumowi, zanim skupił uwagę na jednej osobie, potencjalnym alfonsiem o wyrachowanym wyrazie twarzy, podczas gdy wszyscy inni byli weseli.

Policja stołeczna i biuro detektywów miały główną siedzibę w dzielnicy Whitehall, gdzie stało bardzo wiele budynków rządowych. Ponieważ wejście znajdowało się od strony Great Scotland Yard Street, dziennikarze zaczęli określać wydział policji skróconą nazwą tej ulicy. Nieżonaci detektywi i funkcjonariusze mogli mieszkać w bursie usytuowanej w pobliżu kwatery głównej policji i to właśnie tam, dwadzieścia pięć minut po północy w niedzielę 10 grudnia 1854 roku, czterdziestoletni detektyw inspektor Sean Ryan został obudzony przez konstabla, który poinformował go o wielokrotnym zabójstwie popełnionym w Wapping na East Endzie. Choć przemoc na East Endzie była powszechna, morderstwa rzadko się tam zdarzały. Poprzedniego roku powieszono w Londynie tylko pięciu zabójców, ale w ich przypadku chodziło o pojedyncze ofiary. Nawet w największym mieście świata wielokrotne zabójstwo było czymś szokującym.

Ryan zjadł na obiad gotowaną wołowinę z kluskami, co spowodowało, że nie spał dobrze, dlatego potrzebował jedynie pięciu minut, aby się ubrać. Sprawdził też, czy ma rękawiczki w powypychanej marynarce. Razem z dziesięcioma konstablami, z którymi mieszkał pod jednym dachem, wyszedł na dwór. Było tak zimno, że z jego ust przy oddechu wydobywała się para. Wsiadł do karetki policyjnej, którą zawczasu kazał podstawić. Na zasnutych mgłą, zimnych ulicach niemal nie było ruchu, dzięki czemu grupa policjantów dotarła na miejsce zbrodni w czterdzieści minut.

Zebrał się tam tłum niczym na publicznej egzekucji, więc woźnica musiał zatrzymać konie w sporej odległości od punktu przeznaczenia. Ryan i konstable wysiedli na brudną ulicę wybrukowaną kocimi łbami i ruszyli w kierunku zgiełku, aż doszli do ściany z gapiów, przez którą nie mogli się przebić.

— Mówię wam, że to sprawka Springa-Heeleda Jacka! — krzyknął ktoś, przypominając o postaci zionącego ogniem mężczyzny, mającego szpony u rąk i sprężyny doczepione do butów, który siedemnaście lat wcześniej zaatakował rzekomo kilka mieszkańek Londynu i stał się miejscową legendą.

— Nie, to jakiś Irlandczyk! Dokądkolwiek pójdę, natykam się na cholernego Irlandczyka żebrzącego o pieniądze! Ich głód to oszustwo! Nie ma tam żadnego głodu!

— Cholerna racja! Irlandczycy zwyczajnie kłamią, żeby tu przyjeżdżać i kraść nam pracę! Odeślijmy ich do domu!

— Nie, do licha. Oni wszyscy to złodzieje. Powieśmy ich!

Ryan, którego rodzice wyemigrowali z Irlandii, gdy był jeszcze dzieckiem, od dawna bardzo się starał, żeby zgubić irlandzki akcent. Jego ubranie również nic o nim nie mówiło, było przeciętne. Przyzwyczajony do pracy pod przykrywką, nosił czapkę z daszkiem, typową dla dziennikarzy, nisko



nasuniętą na czoło, żeby ukryć rude włosy.

— Zróbcie przejście, konstablu — zwrócił się do jednego z towarzyszących mu ludzi.

— Tak jest, inspektorze.

Latarnia nazywana wolim okiem, którą nosił każdy policjant, miała w środku odbłyśnik i soczewkę powiększającą w otworze w obudowie. Liczne strumienie światła przydawały ważności głosom policjantów, którzy zaczęli się przeciskać przez tłum, pokrzykując:

— Proszę się odsunąć! Policja! Zrobić przejście!

Ryan szedł za nimi, mając nadzieję, że widok tak wielu policjantów odwróci od niego uwagę gapiów i pozwoli mu zachować anonimowość. Podeszli do niewielkiego sklepu, jakich wiele działało w tej okolicy, których głównymi klientami byli przychodzący z niedalekiego portu marynarze floty handlowej. Z powodu bliskości Tamizy smród ekskrementów zatykał dech w piersiach. Brak systemu kanalizacji powodował, że wszystkie zanieczyszczenia spływały do rzeki lub były do niej wyrzucane.

Jeden z konstabli stał na warcie przed sklepem. Okiennice pozamykano, żeby skryć wnętrze przed wzrokiem ciekawskich.

Podobnie jak wszyscy mundurowi funkcjonariusze, konstabl był wysoki i potężnej budowy, by już samym wyglądem zniechęcać przestępców do zmuszania go, aby wyciągnął pałkę. Na hełmie i szerokim pasie nosił odznakę policyjną i złote litery VR, będące skrótem od *Victoria Regina* — Królowa Wiktoria.

Ryan rozpoznał konstabla po bliźnie na szerokim podbródku, która została mu po ranie, jaką odniósł, obezwładniając czujkę w czasie napadu rabunkowego. Obaj pracowali przy tamtej sprawie przed miesiącem.

— To wy, Becker?

— Tak, inspektorze. Miło znowu pana widzieć, choć

wolałbym spotkać się z panem w innych okolicznościach.

— Co tu znaleźliście?

— Pięć ciał.

— Pięć? Konstabl, który mnie obudził, wspomniał o czterech.

— Bo początkowo tak myślałem. Troje dorosłych i mała dziewczynka. Sąsiedzi mówią, że miała siedem lat.

Siedem lat? Ryan z trudem zachował zimną krew.

— Ale potem obejrzałem wszystko dokładnie — powiedział Becker. — W sypialni było bardzo dużo kawałków czegoś, co zostało rozwalone. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, że to kawałki kołyski. Niemowlę leżało pod fragmentem wiklinowej budki.

— Niemowlę — wymamrotał Ryan. Ukrywając emocje, obrócił się do konstabla, który z nim przyszedł. — Popytajcie sąsiadów o to, czy coś nie wydało im się dziwne. O obcych. O każdego, kto wyglądał podejrzanie.

Choć wykonanie niezbędnych zadań wydawało się oczywiste, procedura, którą Ryan uruchomił, istniała dopiero od kilku dekad. Nauka znana teraz jako kryminologia narodziła się we Francji, gdzie zawodowy przestępca Eugène François Vidocq zaczął pracować dla policji w 1811 roku i utworzył zespół detektywów w cywilnych ubraniach. Jego ludzie, udając pijaków i żebraków, przenikali do środowiska kryminalistów, odwiedzając ich ulubione tawerny. Vidocq zrezygnował ostatecznie z pracy w policji i utworzył pierwszą na świecie agencję detektywistyczną. W roku 1843, rok po powołaniu londyńskiej policji śledczej, jej członkowie — między nimi Ryan — pojechali do Paryża, aby Vidocq nauczył ich swoich metod. Od tamtego czasu prowadzenie zorganizowanego śledztwa na miejscu zbrodni stało się standardową procedurą.

— Uświadom okolicznym mieszkańcom, że nawet

najdrobniejszy szczegół, który wydał im się dziwny, może być bardzo ważny. Jeden z was musi pilnować drzwi, kiedy wejdziemy do środka z konstabłem Beckerem. Nie chcę, żeby ktokolwiek jeszcze tam wchodził. Gotowy? — zapytał Beckera.

— To mocny widok — ostrzegł Becker, otwierając drzwi.

— Jestem tego pewny.

. . .

Ryan wszedł jako pierwszy.

Za sobą usłyszał pokrzykiwania kogoś z tłumu:

— Wpuśćcie nas! Dajcie popatrzeć!

— Tak! — krzyknął ktoś inny. — Na dworze jest zimno!

Ryan zamknął drzwi, gdy tylko Becker znalazł się w środku. Metaliczny zapach krwi wisiał w powietrzu.

Inspektor oglądał sklep, a jednocześnie zbierał myśli. Okopcona lampa pod sufitem. Lichy kontuar. Półki z bielizną i skarpetkami marnej jakości. Zamknięte drzwi po lewej stronie lady.

— Czy te drzwi były zamknięte, kiedy weszliście? — zapytał Beckera.

— Wszedłem od tyłu, ale tak, te drzwi były zamknięte. Po rozejrzeniu się zostawiłem wszystko w takim stanie, w jakim to zastałem, tak samo, jak pan sobie życzył trzy miesiące temu.

— To dobrze. Weszliście kuchennymi drzwiami? Nie były zamknięte?

— Otworzyłem je bez trudu.

— Zatem morderca uciekł tylnymi drzwiami, zanim weszliście.

— Tak właśnie podejrzewałem.

Ryan nie zdradzał się z własnymi myślami. Może Beckerowi dopisało szczęście, że mordercy nie było już w domu, kiedy

konstabl wszedł do środka. Mógłby dać się zaskoczyć i stać się następną ofiarą.

Inspektor spostrzegł plamę krwi na kontuarze, zatrzymał się, a potem wszedł za ladę, gdzie znalazł pierwsze ciało. Na szyi było rozcięcie, kojarzyło się z drugą parą ust. Czaszka na skutek uderzeń została odkształcona. Ofiara straciła bardzo dużo krwi, która obryzgała towar na półkach.

Ryan widział niewiele ciał bardziej uszkodzonych, ale w takich przypadkach chodziło o niezliczone ugryzienia szczurów albo długi czas przebywania w wodzie. Szkolenie pomogło mu zapanować nad emocjami.

Pięć par skarpet leżało we krwi.

— Sklepikarz musiał po nie sięgać. Gdzie jest kasetka na pieniądze?

— Pod kontuarem.

Detektyw wziął kasetkę, otworzył ją i przyjrzał się uważnie złotym, srebrnym i miedzianym monetom.

— Jeden funt, osiem szylingów i dwa ensy.

— Interesy nie szły zbyt dobrze. — W głosie Beckera dawało się słyszeć współczucie.

— Niemniej dla niektórych ludzi to fortuna. Dlaczego morderca nie zabrał pieniędzy?

Ryan skierował się ku drzwiom po lewej stronie kontuaru, otworzył je i zobaczył zwłoki kobiety i dziewczynki leżące na podłodze. Twarze miały pokiereszowane, gardła podcięte.

Przez chwilę nie był w stanie wydobyć głosu.

Ale ponownie szkolenie wzięło górę.

— Ktoś wszedł w krew i poślizgnął się w kierunku drzwi. Czy to wy, Becker?

— Absolutnie nie, inspektorze.

— Ślad po poślizgnięciu rozmazał odcisk podeszwy, ale nie

wygląda na to, żeby zelówki były nabijane ćwiekami.

— Co wskazywałyoby, że morderca nie jest robotnikiem?

— Bardzo słuszna uwaga, Becker.

Ryan otworzył drzwi po prawej stronie i poczuł zapach gotowanej baraniny zmieszany z zapachem krwi. Płytko oddychając powietrzem przyprawiającym o nudności, patrzył na trupa służącej leżącego na kuchennej podłodze. Oprócz wyrazu cierpienia na jej zmaltretowanej twarzy spostrzegł piegi, co nasunęło mu myśl, że podobnie jak on mogła pochodzić z Irlandii.

Odrza sprawiła, że się odwrócił. Zobaczył młotek ciesielski obok talerza na stole. Puls mu przyspieszył, gdy na obuchu dostrzegł zakrzepłą krew.

Nigdy wcześniej nie widział tylu zwłok w jednym miejscu. Obniżył głos.

— Czy żona sklepikarza przeszkodziła mordercy, zanim dobrał się do kasetki z pieniędzmi spod kontuaru? Czy to dlatego tu wrócił i zabił wszystkich? Żeby nie było żadnych świadków? A wtedy ktoś zapukał do frontowych drzwi i morderca uciekł, nie mając czasu na zabranie pieniędzy?

Ryan zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział.

— Nie, to nie tak. Skoro nie miał czasu na kradzież pieniędzy, po co traciłby cenne sekundy na zamykanie za sobą drzwi, zanim pobiegł korytarzem?

— Może nie wiedział o istnieniu kasetki z pieniędzmi — zasugerował Becker.

— To z jakiego powodu zabił właściciela sklepu?

Wchodząc ponownie do korytarza, Ryan zauważył, że drzwi znajdujące się dalej również są zamknięte. Była za nimi niewielka zagracona sypialnia, co wskazywało, że korzysta z niej wiele osób. Połamane części kołyski leżały w różnych

miejscach. Becker ostrzegł go, że znajdzie tu ciało niemowlęcia. Mimo to nie był przygotowany na widok małego trupa owiniętego w kocyk i wsuniętego pod połamaną wiklinową budkę.

— Dobry Boże. — Ryan był detektywem od dwunastu lat. Przedtem przez osiem lat pracował jako konstabl. Chodząc ulicami największego miasta na świecie, widział rzeczy, które do tej pory uważał za najgorsze, jakie człowiek może wyrządzić drugiej ludzkiej istocie. Teraz uświadomił sobie, jak bardzo był naiwny. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek użyje tego określenia w stosunku do siebie.

— Niemowlę. Uderzenia młotkiem ciesielskim... — Ryan przerwał, żeby odzyskać kontrolę nad emocjami. — Dziewczynka, mówiliście?

— Tak — odpowiedział Becker cicho.

— Uderzenia spowodowały śmierć, ale i tak podciął jej gardło. — W jego głosie wyczuwało się złość. — Cholera, dlaczego? I tak nie potrafiłaby go zidentyfikować. Nie miał żadnego powodu, żeby ją zabijać. Nie zabrał pieniędzy. Pozamykał wszystkie drzwi. Zostawił młotek. Dlaczego? Nie rozumiem.

Po wyjściu z sypialni Ryan pokonał dalszą część korytarza i otworzył kuchenne drzwi.

Konstabl stanął mu na drodze.

— Nie wolno tu wchodzić — powiedział.

— W porządku, Harry — Becker uspokoił go, wychodząc z korytarza. — To detektyw inspektor Ryan.

— Przepraszam, inspektorze. Zawsze lepiej być czujnym.

— To bardzo dobrze. — Ryan wyszedł na podwórze. Miał nadzieję, że ochłonie na zimnym powietrzu, ale zapach mgły nałożył się na przyprawiający go o nudności odór, jaki pozostał

mu w nozdrzach. — Co tam jest?

Konstabl skierował światło na ubikację. Opuścił latarnię i oświetlił ubitą ziemię.

— Przyjrzałem się temu, ale ziemia jest za twarda, żeby zostały odciski butów.

— Przeszliście przez dom, żeby się tu dostać?

— Nie. Konstabl Becker powiedział, że im mniej ludzi wejdzie do środka, tym lepiej. Poprosił, żebym przeszedł nad murem, podobnie jak on. O tutaj, po prawej stronie.

— Poświećcie i pokażcie mi.

Utrzymujące się w Londynie gęste mgły, charakterystyczne dla tego miasta, tworzyły się z dymu powstającego przy paleniu węgla, wydostającego się z pół miliona kominów, i mgły znad Tamizy. Na murach i ścianach utrzymywała się stale warstwa sadzy. Snop światła z latarni wydobył z mroku smugi w miejscu, gdzie obaj konstable otarli się o cegły, przechodząc przez mur.

— Pokażcie mi resztę muru.

Za ubikacją na tyłach niewielkiego podwórza na kawałku muru również widać było smugi po startej sadzy.

— To tutaj morderca przedostał się przez mur — uznał Ryan.

Tłum przed domem był coraz bardziej zniecierpliwiony.

— Wpuście nas, żebyśmy zobaczyli, co ten bydlak zrobił! — krzyknął ktoś.

— To musiał być jakiś obcy! Nikt, kto znał Jonathana, nigdy by go nie skrzywdził!

— Wygląda na to, że przydacie się do pomocy konstablom z przodu — zwrócił się Ryan do policjanta pilnującego tylnych drzwi. — Zajmijcie pozycję w zaułku. Nie pozwólcie nikomu zbliżyć się do tyłu domu. Jeśli będzie trzeba nabić kilka guzów, nie wahajcie się.